

POLEMIKI NIE BĘDZIE

Ludwik Erhardt

"Kultura"
"Wty-68"

Ogarnęło mnie lenistwo silniejsza nad chciwość. Może to już wiosna? Przed dwoma tygodniami KTT w felietonie poczęstował mnie porcją komplementów, a następnie udowodnił, że jestem tępy. Autorzy rozmaitych listów, przez uprzejmą redakcję częściowo publikowanych, na komplementy się nie wysilali. Wiem, że już dwa tygodnie temu powinienem był zakasać rękawy, odszczeknąć się, nie dać zjeść się w kaszy. Ale mi się nie chciało. Niech jedzą. Smaczniego.

A zatem polemiki nie będzie. Ale nie tylko z powodu mego lenistwa. W przeciwieństwie do KTT i autorów listów brak mi tego absolutnego przekonania o tępciość moich potencjalnych przeciwników, które jest bodźcem pobudzającym temperament polemiczny. Wprawdzie trochę im zazdrościsz pewności siebie i głębokiego poczucia nieomylności przy ocenie zjawisk, wszakże przyczyn zarysowanej różnicy zdań skłonny jestem szukać gdzie indziej niż oni.

Przed tygodniem Krzysztof Teodor Toeplitz, w długim ale interesującym szkicu o genezie muzyki beatowej, mimochodem wspominał o „zawrocie Niemena do analfabetycznego tekstu *Dziwny jest ten świat*”. Tu chyba jest pies pogrzebany. Wyznaje, że ten tekst i tę piosenkę w wykonaniu Niemena cenił znacznie wyżej od *Światowego życia* czy innych piosenek Młynarskiego. Jest mi znacznie bliższa i porusza mnie swą naiwną szczerością. Ale wynika z tego tylko tyle, że mamy z KTT różne gusty i nieco odmienne metody ich wyrażania. Wszelkie wnioski na temat tępoty jednego z nas trzeba by tu uznać za bezpodstawne.

Dzieli nas różnica upodobań, co uniemożliwia jakakolwiek dyskusję. Polemiczna wymiana strzałów nieuchronnie doprowadziłaby do wyniku nierozstrzygniętego, ponieważ po wyczerpaniu wszystkich argumentów każdy z nas zostałby z jednym, nie do obalenia: KTT dałby mi słowo honoru, że Młynarski jest gorzkim ironistą, a ja przysięgałbym, że tej ironii nie czuje i że Niemen autentycznie mnie wzrusza. A że jednak lubię, żeby moje było na wierzchu, dodałbym jeszcze, że wedle ostatnich doniesień wśród warszawskich nastolatków nie mówi się już na starsze pokolenie „wapniaki”, ale „jareccy”. I w ten sposób udałoby mi się na pół dnia wpędzić KTT w kompleks, albo przynajmniej skłonić do zadumy.

Mnie także było łyso, kiedy zachęcony ogólnym entuzjazmem po raz pierwszy zetknąłem się z piosenkami Młynarskiego. I później, kiedy o nich pisałem i czytałem rozmaite listy do redakcji. Bo poczułem się przez chwilę osamotniony, inny, zdziwaczony. Zawsze

mnie niepokoi, kiedy w jakiejś sprawie mam zdanie krańcowo różne od powszechnej opinii. W rzeczywistości jednak nikt nie może być tak bardzo inny. I nawet jeśli się komuś wydaje, że celowo lub wbrew woli odchylił się od społecznej przeciętnej, to i tak prędzej czy później musi odkryć, że nie umknął spod działania ogólnospołecznych determinant. Takie odkrycie czasem boli, kiedy indziej przynosi ulgę.

Od kompleksu uratowała mnie młodzież z Klubu przy Rozgłośni Młocerskiej, a także różni znajomi i nieznajomi ludzie, którzy powyłaniali się nagle, żeby podzielić się swymi uwagami. Oni także nie przepadają za Młynarskim. Z tych samych co ja powodów. Ale oni nie piszą listów do redakcji. Listy pisze się zawsze przeciw, znacznie rzadziej za. Protest i oburzenie są bez porównania silniejszymi bodźcami niż aprobata i zadowolenie. A że liberalizm i tolerancja wobec cudzych przekonań są pojęciami stosunkowo słabo przez nasze społeczeństwo przyswojonymi, przeto ilość protestów jest wprost proporcjonalna do liczby bohaterów, wielkości narodowych, popularnych postaci i uświęconych poglądów.

W tym samym tygodniu, w którym KTT nadział mnie na rozeń w swej Kuchni Polskiej, a p. Paczyński, zniekształcając cytaty, zastanawiał się, co by mi tu jeszcze zasunąć oprócz nieelegancji, ekshibicjonizmu, ponuractwa, braku wyobraźni i poczucia humoru — odbyła się także inna manifestacja przywiązania do narodowych świętości. Mianowicie, w Towarzystwie im. Fryderyka Chopina zorganizowano wieczór dyskusyjny nad książką J. M. Smotera *Spór o „listy” Chopina do Delfiny Potockiej*, w którym wziął udział autor, prezentowany przez Jerzego Waldorffa, a także zabierali głos niefektory spośród zebranych na sali słuchaczy.

Cała ta sprawa jest na ogół znana, a zresztą zbyt zawila, by ją tu teraz referować. Praca J. M. Smotera ukazała się w lecie zeszłego roku i skwitowano ją kilkoma omówieniami krytycznymi, wysuwającymi szereg wątpliwości, zaś przez ten czas pojawiło się sporo faktów, rzucających nowe światło — między innymi Adam Harasowski opublikował w Szkocji książkę o sprawach chopinowskich, której ostatni, najdłuższy rozdział poświęcił sumiennemu rozważeniu wielu argumentów. Można się więc było spodziewać, że wieczór dyskusyjny w TiFC, choć nie mający pretensji do rangi naukowej konferencji, pozwoli nam poznać stanowisko zainteresowanych osób wobec nowego w tej sprawie materiału, jaki się zgromadził.

Stało się jednak inaczej. Atmosfera, jaką temu spotkaniu nadał prowadzący dyskusję J. Waldorff, uniemożliwiła rzeczową wymianę poglądów i przeniosła całą rozmowę w sferę bardziej emocjonalną niż racjonalną. J. Smoter ograniczył się do pobieżnego zreferowania kilku zagadnień, które już przedtem opisał w szczegółowo w książce, i właściwie nie miał okazji do wypowiedzenia się na temat nowych faktów, a nawet do zajęcia stanowiska wobec argumentów, jakie padły podczas tego spotkania. Interesujące wystąpienie J. W. Gomulickiego, który usiłował nadać spotkaniu ton rzeczowy i kompetentny, zawisło w próżni.

W tej próżni nie brakowało tylko słów. Wieczór zaczął się od wypowiedzi J. Waldorffa, który przedstawił swoją własną wersję zyciorysu Mateusza Głińskiego, zwolennika tezy o autentyczności owych listów — wersję niezbyt pochlebną. Później tonem najwyższego autorytetu zapewnił zebranych, że listów do kochanki nie pisuje się w tej formie, jaką mają niektóre z rzekomych listów Chopina do Delfiny. Zwłaszcza, jeśli ową kochan-

ką jest hrabina. Teksty te przypominają mu raczej listy stangreta do służącej. A także wyraził pogląd, że ton owych listów nie pasuje do uduchowionej sylwetki romantycznego kompozytora. Stosownym zakończeniem w ten sposób rozpoczętego wieczoru była więc pozornie błyskotliwa wypowiedź Adama Mauersbergera, który dowodził, że „sprawy w ogóle nie ma”, że skoro nie ma autografów, to nie ma o czym mówić.

Nic więc dziwnego, że podczas tak prowadzonej dyskusji znalazło się też miejsce na wystąpienie pewnej pani, która broniła honoru kobiety, tj. Delfiny Potockiej, i próbowała przekonać słuchaczy, że przypuszczenia o romansie Delfiny z Chopinem i istnieniu między nimi erotycznej korespondencji — uwłaczają godności pięknej hrabiny. Ale choć później wszyscy zaczęli bronić wszystkich, jakoś nikt się nie ujął za sponiewieranym w ten sposób kompozytorem.

Wśród takiego rozkosznego bredzenia towarzyskiego upłynął cały wieczór. Nie tylko nie posunął sprawy naprzód, ale ponownie omotał ją pajęczyną emocji, drgającą przy każdym dotknięciu narodowej świętości i związanych z nią tradycyjnych wyobrażeń. Albowiem mimo wypowiedzi A. Mauersbergera sprawa istnieje. Moment, w którym można było uznać ją za nie istniejącą, minął dwadzieścia lat temu. Jeśli zaś czegoś nie ma, to przede wszystkim rzeczowej, spokojnej i bezstronnej dyskusji. Należałoby wreszcie odłożyć na bok wszystkie uprzedzenia i przesady, łącznie z egzaltowaną miłością do romantycznego wizerunku Chopina. Należałoby także nie zajmować się biografiami M. Głińskiego i przestać rozczulać się nad nieszczęśliwym życiem i talentem Pauliny Czernickiej, posiadanej o autorstwie tych tekstów. Wreszcie, należałoby zrezygnować z ambicji udowodnienia za wszelką cenę jednej lub drugiej tezy.

Należałoby — tylko kto to ma zrobić? J. M. Smoter zajął się tą sprawą na marginesie swych studiów nad epistolografią romantyczną i zapewne nieprędko będzie mógł do niej powrócić. J. W. Gomulicki także zajmuje się nią dorywczo, a raczej tylko — jako wybitny znawca epoki — czuje się zobowiązany do udziału w dyskusji. Przytaczająca większość osób zamieszanych w spór to dyktanci, ożywieni świętym zapalem i rozżrzeni ogniem tej pseudopolemiki, którzy jednak powodują więcej zamieszania niż przynoszą korzyści. Tymczasem sprawa tych tekstów wymaga wprost wyjątkowych kwalifikacji — połączenia wyczerpującej znajomości biografii Chopina i literatury o Chopinie z wiedzą historyczną, szczegółowymi badaniami ko-

respondencji Zygmunta Krasifskiego i jej losów, studiami językowymi i innymi. Przede wszystkim zaś wymaga zimnej bezstronności, rzetelnego rozważenia wszystkich faktów, argumentów, hipotez i alternatyw, bez chowania głowy w piasek i bez uciekania przed trudnościami.

Historycy literatury nie mają na tę żabę ochoty. Historycy muzyki i chopinologowie twierdzą, że mają pilniejsze sprawy do załatwienia. I rzeczywiście. Sytuacja jest więc beznadziejna. Rzeczowej polemiki nie będzie. Listy Chopina do Delfiny będą intrygowały jeszcze wiele pokoleń i jeszcze niejedna pani będzie się emocjonowała broniąc honoru hrabiny przed tymi, którzy będą jej chciały wpakować Chopina do łóżka, względnie go z tego łóżka wyciągnąć.

Przyznam, że wołę inne emocje. W tej samej sali TiFC, nieco wcześniej, Irena Eichlerówna dała wieczór recytacji listów Chopina, tym razem oficjalnie autentycznych, we własnym wyborze i układzie. Kaprys wielkiej aktorki. Wielki kaprys. Chciałem jak Roksana wołać: „Ach, jak Ty list jego czytaasz!” — ale nie wypadało. A było to czytanie nadzwyczajne, kapryśne, wbrew wszelkim prawdom, na przekór kropkom, przecinkom i pozornie naturalnym pauzom. Nie spodziewane przyspieszenia i zwolnienia, opadania i wznoszenia się głosu, których sens wyjaśniał się ex post — wszystko to nadało pięknej prozie Chopinowskiej niespodziewany, żartobliwy wdźwięk, ożywiło ją tchnieniem nieodpartej, naturalnej bezpośredniości.

Listy Chopina drgają tysiącem subtelnych odcieni i nastrojów, zaznaczanych często tylko jednym słowem, złączeniem słów i familiarnych wyrażeni, podkreślających często ironiczny dystans kompozytora do siebie i swego otoczenia. Irena Eichlerówna nie uroniła ani jednego z tych delikatnych załamania i refleksów. Wiedziała intuicją, talentem, wiedzą lub miłością do Chopina — czy ja wiem czym? — ukazała zachwyconym słuchaczom zawarty w tych listach świat, znacznie bogatszy od tego, jaki prezentowali dotychczasowi ich interpretatorzy. Było to przeżycie jakich mało, wobec którego błędnie i maleje cały spór o listy do Delfiny. Błędna i malejąca wszystkie spory.